

Transatlantyk: zawieszony sny

Za nami czwarta łódzka edycja Festiwalu Transatlantyk. Na tyle właśnie opiewała umowa z miastem. Czy to definitywny koniec festiwalu w Łodzi? Jego pomysłodawca i dyrektor Jan A.P. Kaczmarek nie przesądza sprawy: - *Nie jestem prorokiem. Dobrze się czuję wszędzie, gdzie mnie chcą.*

Oficjalnie Biuro Rzecznika Prasowego Prezydenta Miasta zapewnia, że do czasu podsumowania i rozliczenia obowiązującej umowy żadne rozmowy co do kolejnych edycji nie będą prowadzone. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmą (czy podjęły) władze miasta, niesione niechęcią części środowiska łódzkich filmoznawców, animatorów kultury i dziennikarzy, schyłkowy nastrój był zauważalny. Transatlantyk otworzyła zupełnie nie przygotowana konferencja prasowa Marthy Coolidge, amerykańskiej reżyserki zrealizowanego w Łodzi filmu „Znajdę cię”, na którą spóźniony Jan A.P. Kaczmarek przybył także w roli kompozytora muzyki do tego filmu. Zaraz też musiał się tłumaczyć. Dlaczego impreza o największym budżecie w mieście serwuje brudne materacyki w Kinie Łózkowym i dlaczego nie płaci za wynajem biura przy placu Wolności?

Krytykę Transatlantyku prowokuje przede wszystkim „rozrzutność” jego szefa przywykłego do szczodrego gestu. O pieniądzach, jakie dostaje (Kaczmarek traktuje budżet festiwalu jako zenująco mały w stosunku do wymagań miasta) lokalni organizatorzy mogą jedynie pomarzyć, co rodzi u nich frustrację (i przekonanie, że dysponując takimi funduszami, dopiero by pokazali). Z kolei władze za ponad 3 mln zł rocznie spodziewały się chyba o wiele większych fajerwerków. Myślę, że wszystkie pozostałe zarzuty mają drugorzędne znaczenie. Transatlantyk jest (był) taki, na jaki nas stać.

Nie wiem, czy za takie pieniądze można było zrobić dużo więcej. Pomijając typowo łódzkie malkontenctwo, będę się upierał, że ten festiwal jest (był) istotną wartością dla Łodzi. Osiem dni wypełnionych mnóstwem wydarzeń - treści, doznań i emocji. Oglądanie dobrego kina połączone z namysłem nad współczesnym światem. To nie tylko filmy, ale i spotkania, rozmowy, które na długo pozostają w pamięci, wzbogacają nasz obraz rzeczywistości. Pozostaje również niedosyt podszyty irytacją, że nie da się obejrzeć wszystkich filmów, nie da się uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach, które wydają się interesujące. Tym samym festiwalu nie da się opisać w całości.

W tym roku na Transatlantyku postanowiłem trzymać się sekcji Nowe Kino. Oczywiście zobaczyłem tylko drobną część spośród 200 tytułów, które znalazły się w programie festiwalu. Największe wrażenie zrobił na mnie niemiecki film debutantki Nory Fingscheidt „Błąd systemu” - dramatyczna opowieść o niezaspokojonej potrzebie miłości dziewięcioletniej Benni, dotkniętej syndromem wczesnej przemocy (była maltretowana jako niemowlę). Dużo w tym filmie wrzasku, złych emocji i brutalności, ale też nie mniej troski, pozytywnych gestów, ciepła i dobrych chęci. Mimo to Benni miota się jak ptak w klatce oszalały z cierpienia. Długo zastanawiałem się, gdzie, zdaniem reżyserki, tkwi tytułowy błąd. Film otrzymał przyznawaną przez publiczność Transatlantyk Distribution Award - finansowe wsparcie (40 tys. zł) dla dystrybutora, który będzie rozpowszechniał obraz w polskich kinach.

Niesamowitym doświadczeniem było obejrzenie dzieła brazylijskiego reżysera Karima Aïnouza „Niewidoczne życie sióstr Gusmão”, którego akcja toczy się w latach 50. XX wieku w Rio de Janeiro. Wkraczamy w świat intymnych relacji między dwiema bliskimi sobie kobietami - Eurídice i Guidą. Ten związek dusz nabiera poetyckiej niemal lekkości, kiedy siostry zostają rozdzielone na skutek dramatycznych wydarzeń. Jednocześnie jest skonfrontowany z okrutnym życiem, którym rządzą prawa ustanowione przez mężczyzn. Inny charakter miał „Głos Pana” węgierskiego reżysera György Pálfiego, luźno inspirowany powieścią Stanisława Lema, łączący różne style filmowej narracji,

komiksową grubą kreskę z subtelną analizą głębokich relacji między bohaterami, powagą z ironią i pastiszem, reporterskie obserwacje dotyczące mediów z filozoficzną refleksją o naturze ludzkiej. Załoga statku kosmicznego łapie sygnał, który może być komunikatem od obcej cywilizacji. Jednocześnie Peter poszukuje w Stanach Zjednoczonych zaginionego ojca, węgierskiego naukowca zaangażowanego w tajemniczy projekt badawczy. Spraw metafizycznych dotyczył rozgrywający się na macedońskiej prowincji film „Bóg istnieje, jej imię to Petrunia” (reż. Teona Strugar Mitevska). Nieoczekiwany przebieg tradycyjnej ceremonii religijnej staje się okazją do zrewidowania odwiecznych prawd i ról społecznych narzucanych kobietom. Czy zachowanie głównej bohaterki jest bluźnierstwem, czy próbą zademonstrowania niezależności i obroną godności?

O wielkiej pasji, geniuszu, ambicjach i pozycji kobiety w patriarchalnym społeczeństwie izraelskim opowiada „Bóg fortepianu” (reż. Itay Tal). Główna bohaterka Anat walczy o uwagę ważnych w jej życiu mężczyzn. Córka kompozytora i rektora akademii muzycznej chce być doceniona, a drogą do tego celu jest muzyka. Kiedy jako pianistka nie udaje się jej osiągnąć poziomu mistrzowskiego, całą nadzieję Anat pokłada w swoim synu. Jego sukces staje się jej obsesją.

Spore emocje wzbudziły dwa filmy opowiadające o świecie sportu. Belgijski „Wyścig” Kennetha Merckena to tragiczna historia młodego obiecującego kolarza, który w pogoni za sukcesem przyjmuje środki dopingowe, narkotyki, hormony, poddaje się transfuzjom krwi. Reżyserowi udało się przedstawić brutalną rzeczywistość sportu w kontekście indywidualnego losu – uwarunkowań rodzinnych, zależności, motywacji i presji, jakim podlega Felix. „Wyścig” to opowieść fikcyjna, choć w istotnym stopniu inspirowana życiem samego reżysera. Z materiałów archiwalnych wcześniej niepublikowanych składa się film „Diego” mistrza dokumentu Asifa Kapadii, poświęcony legendzie piłki nożnej Diego Armando Maradonie. Bohaterowie są dwaj: Diego – skromny, utalentowany chłopak z argentyńskiej prowincji, który od 15. roku życia utrzymuje całą rodzinę, oraz Maradona – bożyszcze kibiców, playboy, gwiazda mediów, przyjaciel i zakładnik mafii. Spoza ekranu mówią znajomi, rodzina, trenerzy, działacze, dziennikarze, mówi z perspektywy lat sam Diego Armando, co nadaje dodatkowy walor tej historii o drodze na szczyt i upadku.

Warto wymienić dwa filmy, których twórcy posłużyli się nieoczywistą formą, co spowodowało, że ich odbiór mógł sprawiać widzom kłopot. O psychologicznych skutkach zamachu terrorystycznego w Brukseli w 2016 roku opowiada Bas Devos w filmie „Hellhole”. Buduje narrację oszczędnymi dialogami, scenami pozornie bez znaczenia, długimi ujęciami, powolnym panoramowaniem ukazującym świat wyłaniający się np. zza rogu budynku, długimi wyciemnieniami z dochodzącymi spoza kadru odgłosami miasta. Takimi środkami tworzy obraz nieokreślonego lęku, pustki i samotności swoich bohaterów – lekarza, młodego muzułmanina i włoskiej tłumaczki. O cenie sukcesu w branży filmowej, którą musi udźwignąć początkująca aktorka, opowiada tajwański reżyser Midi Z w wysmakowanym plastycznie filmie „Nina Wu”. To, co chce nam przekazać autor, jest w zasadzie oczywiste, ale robi to po swojemu i tym właśnie przykuwa uwagę widza. Teatralna umowność planu filmowego miesza się tu z rzeczywistymi przeżyciami bohaterki. Czasem nie wiadomo, co jest urojeniem, a co jawą. Reżyser zaburza też chronologię, powtarza sceny w nieco innej wersji. Akcja staje się kwestią drugorzędną, a na plan pierwszy wysuwają się skomplikowane, często sprzeczne emocje Niny Wu.

Nie wszystkie seanse mogą zaliczyć do udanych. Jednym z nich jest łódzki (bo zrealizowany w łódzkich plenerach) film Marthy Coolidge „Znajdę cię” z gwiazdorską obsadą (m.in. Stellan Skarsgård, Connie Nielsen). Historia romantycznej miłości Racheli Rubin i Roberta Pułaskiego, którzy uczą się w szkole muzycznej w Łodzi, nosi wszelkie znamiona produkcji spreparowanej wedle hollywoodzkiej recepty na kino popularne – wielkie uczucie wystawione na próbę w nieludzkich czasach II wojny światowej. Mimo uproszczeń, schematyzmu, łopatologii, niewiarygodności wielu scen sytuację ratuje wpisana w akcję wspaniała muzyka Richarda Wagnera. Dramaturgia świetnie

wykonanej arii z „Tristana i Izoldy” dźwiga pocztówkową sztuczność do rangi prawdziwych emocji, a piękno i miłość zwyciężają grozę. Jednak pokonał mnie chilijski dramat „Nona” w reżyserii Camili José Donoso. Autorka tej „amatorskiej” pod wieloma względami produkcji główną bohaterką uczyniła swoją babcię, która po tym jak podpaliła samochód byłego kochanka, musiała zmienić miejsce zamieszkania. Trudno stwierdzić, o czym jest ten film i po co został zrobiony. Przy tym babcia naprawdę nie ma niczego ciekawego do powiedzenia o sobie i swoim życiu.

Transatlantyk to nie tylko filmy - to także spotkania z ludźmi. Dobrze przygotowana rozmowa z twórcą po projekcji daje widzom niepowtarzalną szansę pogłębienia odbioru filmu, a autorowi - możliwość autentycznej konfrontacji z publicznością. Belg Kenneth Mercken („Wyścig”) opowiedział, jak pewnego dnia jako młody kolarz zrozumiał, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, że powinien skończyć ze sportem i rozpocząć studia w szkole filmowej. Odkryliśmy historię reżysera, który za pośrednictwem filmu próbuje uporządkować swoje trudne relacje z ojcem. W ten sposób wykraczamy daleko poza ekranową fikcję. O swoich dylematach twórcy filmu opowiadał z kolei pochodzący z Izraela Itay Tal („Bóg fortepianu”). Przy pisaniu scenariusza najtrudniejsze było pokierowanie akcją w zgodzie z tym, jak mogłaby postąpić bohaterka historii, a nie tak, jak on jako reżyser wolałby, żeby postąpiła. Markus Schleinzer nie chciał rozmawiać z widzami o swoim filmie „Angelo”. Przed projekcją tłumaczył, że musi szybko wracać do Wiednia, bo pies został sam i narobi szkód w domu. Mimo pośpiechu dużo mówił o sensie organizowania takich festiwali jak Transatlantyk. W ostatnich latach, w dobie dominacji seriali i platform VOD festiwale są dla kina artystycznego, które przegrywa również w tradycyjnych kinach z repertuarem komercyjnym, jedyną szansą na spotkanie z widownią.

Przy okazji projekcji filmu „Hellhole” odbyła się debata firmowana przez twórców festiwalu Kamera Akcja, a prowadzona przez jego szefa Przemysława Glajznera. Debiutujące reżyserki i młodzi krytycy zastanawiali się, czy twórcy i krytycy mówią innymi językami. Dyskusja nie miała jednak odpowiedniej temperatury, a i widownia nie wyszła ze spotkania bogatsza o jakieś doniosłe spostrzeżenia. Myślę, że po obu stronach zabrakło doświadczenia, które mogłoby stanowić bazę do ciekawej rozmowy na zadany przez organizatorów temat. Mocnym punktem programu był w tym roku Salon Transatlantyk - cykl debat prowadzonych przez Rafała Wosia, publicystę „Tygodnika Powszechnego”. Na tematy istotne dla przyszłości świata, a słabo obecne przestrzeni publicznej - bezwarunkowy dochód podstawowy, jak roboty zmieniają nasze życie, kryzys wspólnoty w Europie - dyskutowali eksperci z żywym udziałem publiczności.

Istotną miarą znaczenia Transatlantyku dla Łodzi jest obecność publiczności. Na większości seansów, w których uczestniczyłem, sale były pełne lub prawie pełne. Przy okazji różnych wydarzeń spotykałem najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy zajmujących się filmem w Polsce. W tramwaju, na ulicy i na terenie Manufaktury, gdzie w Cinema City mieściło się centrum festiwalowe, widziałem ludzi z torbami i identyfikatorami Transatlantyku. Ta impreza z pewnością nie trafia w próżnię. Próżnia powstanie, gdy Transatlantyk wyniesie się z Łodzi. Czy władze miasta zaproponują mieszkańcom coś w zamian?

Bogdan Sobieszek